MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 7 WARSZAWA, 14 LUTEGO 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

REWIZJA POGLĄDÓW NA PRZESZŁOŚĆ

GDYBY wiedza historyczna polegała li tylko na ścisłem ustalaniu faktów, mogłaby ona być konsekwentną i logiczną budową, do której każde pokolenie przynosiłoby tylko swój wkład i swoje uzupełnienia. Lecz wiedza historyczna jest czemś więcej — stara się ona wytłumaczyć stawanie się dziejowe oraz ocenić wartość działania historycznego. Skoro zaś takie sobie stawia zadanie, to wyroki jej są zależne od stanowiska, jakie zajmuje dane pokolenie wobec życia i jego przejawów. Oto przyczyna, która sprawia, że wiedza historyczna wciąż się odnawia, że jej wyroki zmieniają się z pokolenia na pokolenie. Zmiany te są ciągłe, stają się one jednak bardzo głębokie wówczas, gdy w poglądach warstwy myślącej narodu zachodzą wielkie przemiany, gdy w myśli i w życiu odbywają się rewolucje. Nie może też być—naszem zdaniem—wiedzy subiektywnej, jeśli chodzi o wytłumaczenie przyczyn zjawisk historycznych oraz ocenę działań ludzkich, może być jedynie przestrzeganie ścisłej logiki w procesie dochodzenia od założeń do wniosków.

*

Wiedza historyczna przechodzi obecnie równie głęboką rewolucję, jak życie samo narodów europejskich.

Europa stoi na progu nowego okresu swych dziejów. W świadomości warstwy oświeconej narodów naszego kontynentu przejawia się to jako kryzys zarówno w poglądach moralnych i politycznych, jak w ocenie zjawisk społecznych i gospodarczych.

Niektórzy patrzą na ten przełom w myśli i w życiu, jako na następstwa katastrofy wojennej lat 1914—1918. My mamy to przeświadczenie, że jest to zjawisko o wiele głębsze, że jest to koniec okresu, rozpoczętego przez Odrodzenie, okresu rozwoju i panowania materializmu i indywidualizmu w myśli i w życiu narodów europejskich.

Europa w okresie Średniowiecza zarówno w dziedzinie życia, jak i myśli stanowiła harmonijną całość. Miała swoją organizację państwową i powszechną, swój ustrój społeczny, swój ustrój społeczny, swoją wiarę i filozofię. Odkrycie Ameryki i płynące stąd następstwa polityczne, gospodarcze i społeczne, oraz nowe prądy myśli zapoczątkowały rozkład Europy średniowiecznej. Rozkład ten doszedł do punktu szczytowego w Rewolucji francuskiej, której ideologia i następstwa w życiu narodów eropejskich panowały przez cały wiek XIX. Wielka wojna była—zdaniem naszem — tylko etapem w zaznaczonym powyżej procesie dziejowym. W niej i w jej następstwach zwanych kryzysem powszechnym, ujawniło się ostatecznie bankructwo zarówno ideologii, jak i form życia okresu przejściowego między Średniowieczem a czasami nowemi, których zapowiedzią i punktem wyjścia jest nowoczesny ruch narodowy w Europie, zwany na Zachodzie nacjonalizmem, a będący zjawiskiem nietylko politycznem i społecznem, lecz prądem przenikającym wszystkie dziedziny życia ludzkiego. Ten ruch narodowy przejawia się w życiu różnych narodów w różnej postaci, zależnie od ich pochodzenia rasowego, od ich życia historycznego i od warunków współczesnych tego życia. We Francji przybrał kształty dążenia do przywró-

cenia monarchil, we Włoszech nazywa się faszyzmem, w Niemczech narodowym socjalizmem, w Polsce ruchem narodowym, w Rosji widać go zarodki w bolszewiźmie, mimo iż rewolucja rosyjska dokonała się pod wpływem i z inicjatywy komunizmu, będącego pod wieloma względami antytezą nacjonalizmu.

Nowoczesny ruch narodowy, aczkolwiek bardzo się różni od przejawów w różnych krajach, ma jednak pewne założenia wspólne, podstawy jego ideologii, jego filozofia—jeśli się tak wyrazić wolno — z jednego wypływa źrodła. Kto sięgnie do pism inicjatorów nacjonalizmu w Europie w w. XIX, do pism Maurras'a, Corradini'ego czy Popławskiego, ten musi stwierdzić, że — mimo różnic—rodowód ich jest wspólny, bo są reprezentantami głębokiego powszechnego nurtu myślowego u narodów zachodnio-europejskich, wyrosłych pod wpływem Kościoła katolickiego i greckorzymskiej kultury.

Wielka rewolucja duchowa, której świadkiem i uczestnikiem jest nasze pokolenie, jest najdonioślejszem zjawiskiem czasów naszych. Trzeba sobie z niej zdawać sprawę, trzeba ją przeżyć w duszy własnej, jeśli się chce zrozumieć to, co się wokoło nas dzieje, jeśli się chce wyorać swój zagon w dziejach swego narodu i całej społeczności europejskiej.

*

Rewolucja w umysłach poprzedza zawsze rewolucję w życiu. Najbardziej znanym i najdobitniejszym tego przykładem jest wpływ pism Russa i Woltera na rewolucję francuską. Współczesna rewolucja narodowa jest wcieleniem w życie myśli inicjatorów ruchu narodowego. I podobnie jak prekursorzy ideowi rewolucji wieku XVIII szukali uzasadnienia swych poglądów w dziejach ludzkości, tak robić to muszą rewolucjoniści czasów naszych. Bo jeśli się chce oprzeć życie moralne, polityczne, społeczne, gospodarcze na nowych zasadach, sprzecznych z zasadami, które rządziły wiekiem XIX-ym, to trzeba wykazać, że są błędne, nietylko na przykładzie wydarzeń bieżących, lecz także na przykładach doświadczenia historycznego. Stąd bierze początek rewizjonizm historyczny prądu narodowego.

Najsilniej uwydatnił się on w ojczyźnie rewolucji wieku XVIII — we Francji. Rewizjonizm ten zresztą nie wypadł sroce z pod ogona. Ma on swoich antenatów i to nie byle jakich. Nawiązał on do dwuch pisarzy politycznych okresu rewolucyjnego—Bonalda i de Maistre'a, posiada swego mistrza w osobie autora dzieła „*Origines de la France contemporaine*" — Hipolita Taine'a. Nowoczesna szkoła historyczna francuska poddała krytyce dziejopisarstwo wieku XIX, które stało wiernie przy zasadach Wielkiej Rewolucji i z punktu widzenia tych zasad oceniało wypadki. Jeśli się odrzuca te zasady, a na ich miejscê stawia inne, to rzeczą konieczną i logiczną jest przeprowadzenie całkowitej rewizji poglądów, zarówno w dziedzinie wytłumaczenia przyczyn stawania się dziejowego, jak i w zakresie oceny zjawisk historycznych. Historykom wychodzącym z ruchu nacjonalistycznego w innem się przedstawiają świetle dzieje Francji pod rządami „czterdziestu królów, którzy stworzyli Francję", w innem świetle wypadki rewolucyjne końca XVIII wieku, wartość organizatorów Francji na podstawie zasad rewolucyjnych i upowszechnienia tych zasad w Europie—Napoleon I, oraz to wszystko, co się we Francji działo przez cały wiek XIX, aż po czasy nasze. Argumenty historyczne są też bardzo silną bronią w ręku inicjatorów i apostołów nowego porządku rzeczy; człowiek, który w stosunku do zbliżającej się rewolucji narodowej we Francji odegrał tę samą rolę, jaką w stosunku do rewolucji w. XVIII odegrał Russeau, a mianowicie Maurras, zaatakował właśnie w pierwszym rzędzie ideologię Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Tą samą drogą poszedł polityk praktyczny, związany z dziejami ostatnich lat dziesiątków Trzeciej Republiki, p. André Tardieu, którego wydana niedawno książka—„*Le souverain captif*" — jest frontowym atakiem na podstawy ideologii Wielkiej Rewolucji.

Z tej kampanii ideowej twórców nacjonalizmu francuskiego, posługującej się obficie argumentami historycznemi, poszły wpływy na całą Europę. Oddziałały one na umysł i program polityczny Mussoliniego, zawdzięcza im wiele twórca nowej Portugalii—Salazar. Przyznaje się do nich przedstawiciel ruchu młodo-belgijskiego — Leon Degrelle, odnaleźć je można w ruchach narodowych wśród ludów Europy wschodniej i południowo-wschodniej.

*

Ruch narodowy polski, jeśli ma odegrać rolę decydującą, musi także ugruntować swe zasady i swój program przez konfrontację z przeszłością historyczną Polski i przez wyciągnięcie wszelkich możliwych korzyści z doświadczeń porobionych w przeszłości. Jeśli zaś do tego przystąpi, to będzie musiał dojść do wniosku, że jest rzeczą konieczną poddanie gruntownej rewizji ustalonych poglądów na dzieje drugiej połowy XVIII i całego wieku XIX-go.

Ideologia Wielkiej Rewolucji francuskiej wprowadzona do Polski w okresie Napoleońskim nietylko do umysłów, lecz i do stosunków życiowych, panuje po dzień dzisiejszy w wielu umysłach i wpływa na bieg życia. Warunkiem niezbędnym zrewolucjonizowenia naszego życia i naszej myśli w duchu narodowym jest właśnie poddanie krytyce i rewizji poglądów, zwłaszcza młodego pokolenia na naszą najbliższą przeszłość dziejową.

W Polsce zagadnienie to ma charakter szczególny. Oświecenie w wieku XVIII nie doprowadziło do przewrotu rewolucyjnego, miało ono nawet pewne cechy zachowawcze, opanowało zaś życie polskie przy pomocy organizacji tajnej — wolnomularstwa. Masoneria, jak to dziś już wiemy wszyscy, odegrała rolę decydującą w wypadkach poprzedzających Konstytucję 3-go maja, we wprowadzeniu tej konstytucji, w powstaniu Kościuszkowskiem, we współdziałaniu Polski z Napoleonem, w organizacji Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, w powstaniach 1831 i 1863 r., i potem aż po wojnę, która wybuchła w r. 1914 i po tej wojnie...

Historycy polscy tego całego okresu przeważnie stali na gruncie zasad ideologii, blisko spokrewnionej z ideologią masonerii. To też faktem jest, że historię naszą ostatnich dwuch stuleci znamy wszyscy w oświetleniu masońskiem. Pisarze obozu narodowego dawno już zwrócili na to uwagę, próbowali tu i ówdzie oświetlić wypadki z innego punktu widzenia. Poważne prace historyczne w tym sensie wszakże dopiero się rozpoczęły. A szkoda, bo są one naglącą koniecznością.

Jeśli nowoczesny ruch narodowy w Polsce chce zrewolucjonizować w myśl swych zasad zarówno umysły jak życie, to musi przeprowadzić staranną i głęboką rewizję poglądów na przeszłość Polski, zwłaszcza najbliższą. Dla swoich celów politycznych robili to byli Szujski i Bobrzyński; na użytek wolnomularstwa zrobił to Szymon Aszkenazy. Przed młodszymi historykami stoi otworem wielkie zadanie oświetlenia wydarzeń z przeszłości naszego narodu z punktu widzenia tych zasad, które obóz narodowy wprowadza w życie i na których podstawie zamierza przebudować to życie.

Jeśli w naszem życiu duchowem, w naszej polityce, w stosunkach społecznych i gospodarczych mają być dokonane głębokie przemiany, to musi się dokonać prawdziwa rewolucja w umysłach polskich. Rewolucji tej zaś musi towarzyszyć wszechstronna rewizja naszych poglądów historycznych.

STANISŁAW KOZICKI

KONIECZNOŚĆ NAWROTU DO POLSKOŚCI

II

ABY móc istnieć samodzielnie i niezależnie, a więc ostać się w Europie, życie musi być koniecznie walką — jednostek, narodów. Żywioł polski znajduje się pomiędzy dwoma potężnemi żywiołami — niemieckim i rosyjskim, jeżeli pominąć inne żywioły, znajdujące się dookoła i również zagrażające bytowi żywiołu polskiego.

Licząc w okrągłych liczbach — żywioł niemiecki wynosi 80 milionów ludzi, żywioł rosyjski również 80 milionów.

A żywioł polski wynosi zaledwie 20 milionów — biorę również okrągłe liczby, przytem wychodzę z założenia, że należy liczyć tylko na własne siły.

Każdemu z tych żywiołów żywioł polski może zatem przeciwstawić się zaledwie jakościowo, czyli, że każdy członek społeczeństwa polskiego musi być czterokrotnie silniejszy od każdego Niemca i każdego Rosjanina — moralnie, fizycznie, umysłowo.

Czy tak jest?

Poprzednia treść daje pośrednią odpowiedź.

5) Aby przestać być pożywką dla innych żywiołów. Wszak obecnie żywioł polski tuczy na swojem ciele, nawet we własnym kraju obcy i wrogi żywioł żydowski, nie chcący faktycznie opuścić Polski, aby osiąść we własnym kraju historycznym nad Jordanem, albo w innym kraju, jeszcze nie zaludnionym i mającym warunki do stania się krajem żydowskim. A nie czyni żydostwo w tym kierunku poważnych przedsięwzięć, gdyż dostrzega, że kalectwo żywiołu polskiego pozwala mu jeszcze w Polsce pasorzytować.

Wszakże plany „ewakuacji" żydów staną się zaledwie wówczas realne, gdy życie żywiołu polskiego zacznie nabierać treści polskiej. Polskiej treści dotąd ono niema, jakkolwiek nie jednemu to twierdzenie może wydać się paradoksem.

6) Aby stać się zarzewiem duchowem dla tej części żywiołu polskiego, która jest zmuszona zamieszkiwać poza granicami swego państwa. Jeżeli żywioł polski w swojej macierzy nie będzie źródłem zasilenia duchowego dla tych rozsianych poza granicami swego państwa części, wówczas nastąpić musi nie tylko ich zanik, lecz i osłabienie samej macierzy. Te rozsiane części bowiem mogą być i powinny być ze swej strony zasileniem w tym lub innym zakresie dla swego pnia w kraju ojczystym.

Jeżeli takie prawo pielęgnowania rozwoju swego żywiołu przysługuje innym narodom, dlaczegóż żywioł polski ma go zrzekać się dla siebie, temwięcej, że z tego prawa korzystają już inne narody, zamieszkujące ziemie ojczyste żywiołu polskiego?

Za jaskrawy pod tym względem przykład może służyć żywioł żydowski.

Takie zrzeczenie się oznaczałoby oficjalne przyznanie się do zaniku wiary w swoją wartość gatunkową, a więc do swojej niższej gatunkowości w całej pozostałej rodzinie narodów na świecie.

7) Aby móc promieniować swoją kulturą, swoją cywilizacją na inne narody i w ten sposób wznosić swoją daninę do skarbca kulturalnego i cywilizacyjnego całej ludzkości.

Każdy naród ma w sobie coś odrębnego, coś swoistego i każdy z nich jest w stanie przeto wydać z siebie to, czego nie jest zdolny dać inny naród. Ten wspólny wysiłek musi wzbogacać zarówno formę, jak i treść ogólnego dorobku całej ludz-

kości. Staje się jasne, że ten udział żywiołu polskiego w tym dorobku będzie istotny tylko wówczas, gdy żywioł polski nawróci do polskości.

8) Aby przez swój nawrót do polskości ratować inne żywioły, wyzyskujące żywioł polski, od kalectwa moralnego i umysłowego. Wyzysk bowiem kaleczy moralnie i umysłowo nie tylko ofiarę wyzysku, a więc krzywdzonego, lecz i wyzyskującego, a więc krzywdziciela. W danem miejscu chodzi o wyzyskiwacza, krzywdziciela, bowiem o ofierze wyzysku, jak w danym przykładzie, o żywiole polskim, była mowa wyżej.

Za przykład pod tym względem należy wziąść przedewszystkiem żydostwo. Żywioł ten, obierając sobie rozproszenie za swój „moralny" byt, czyli byt oparty na krzywdzie otoczenia, bo polegający na odbieraniu narodom rdzennym możności wykonywania przez swoich członków niezbędnych dla siebie czynności we wszystkich dziedzinach swego życia, musiał wytworzyć dla siebie, jak już wiadomo, swoistą, bo podwójną etykę: jedną dla siebie, a drugą dla eksploatowanego otoczenia. Żywioł polski, nawracając do polskości przez samodzielne zaspokojenie wszystkich swoich chęci i swoich potrzeb, zmusza w ten sposób żydostwo do stopniowego wycofywania się z własnej sfery działań w Polsce, jako w obcym dla niego kraju, i do skierowywania jego wysiłków ku odzyskaniu swego kraju ojczystego nad Jordanem. Takie wysiłki żydostwa, polegające przedewszystkiem na przenoszeniu swoich mas z Polski do Palestyny, czyli na zrywaniu z rozproszeniem, muszą prowadzić i prowadzą do zrywania z dotychczasową „etyką", jako już zabójczą dla siebie w bycie osiadłym w zwartej masie, wśród swoich, we własnym kraju.

Żydostwo, zatracając w ten sposób powoli swój dotychczasowy klucz etyczny, duchowo wznosi się, jeżeli nie całkowicie, to przynajmniej częściowo, w odniesieniu do tych swoich członków, którzy osiadają w Erec Izrael. A ten stopniowy zanik u tych ostatnich żydów swoistości etyki musi wywierać pośrednio swój wpływ i na żydów w diasporze, którzy tem silniej poczynają dostrzegać swoje dotychczasowe kalectwo duchowe.

Podobny dodatni zwrot musi nastąpić u żydostwa również w sferze jego umysłowości. Przenosząc się bowiem do swego kraju, żywioł żydowski, siłą rzeczy, musi zatracać i zatraca skłonność do wysiłków myślowych nad koncepcjami, wytwarzanemi dotąd w diasporze, a przeznaczonemi na wprowadzenie w błąd otoczenia rdzennego dla ułatwienia tą drogą swego nienaturalnego, a więc zgubnego i dla siebie, bytu w rozproszeniu. (System „kawałów żydowskich").

Wysiłki myślowe w swoim kraju, zastosowane już do bytu samowystarczalnego, a więc normalnego, muszą zatracać charakter — sztuczności, wykrętności, złośliwości niedawnych teoryjek z okresu rozproszenia. One muszą już iść po linii zadośćuczynienia tym naturalnym, a więc zdrowym chęciom i potrzebom żywiołu żydowskiego w swoim kraju i w ten sposób zawierać realizm życiowy, szczerość, prostotę.

Ten przykład z życia żydowskiego wskazuje, jak nawrót polskiego żywiołu do polskości musi wywierać dodatni wpływ na stan moralny i umysłowy posorzytującego w Polsce żydostwa.

Na wymienieniu tych kilku względów, wskazujących na konieczność dla żywiołu polskiego nawrotu do swej istoty, można ograniczyć się. One są, zdaje się, dostateczne dla wywołania przeświadczenia o konieczności tego nawrotu.

ZBIGNIEW KRASNOWSKI

NIEDOMAGANIA NASZEJ STATYSTYKI

SŁYSZYMY często skargi na nadmiar ankiet, wywiadów, formularzy statystycznych. W pismach codziennych czytamy humorystyczne przykłady statystyki raków i ryb w stawach i rzekach, psów po wsiach i t. p. Władze państwowe niejednokrotnie zalecały ograniczenie żądań wykazów statystycznych do granic istotnie koniecznych.

Niewątpliwie nasza biurokracja obrzydziła nam na długie lata statystykę. Sam patrzyłem zbliska na formularze, które co jakiś czas wypełniają nauczyciele i urzędnicy. Można dostać bzika, gdyby ktoś chciał z tych gór druków i papieru korzystać. Wiem również, że władze resortowe żądały od władz niższych wykazów statystycznych coraz to innych. Władze niższe były wprost zasypane nakazami statystycznemi. Tej fali i statystyki i biurokracji trzeba istotnie położyć kres po to choćby, aby uratować dla potrzeb państwa i obywateli właściwą statystykę. Bo ta ma poważne znaczenie, a dziś i poważne—braki.

Od lat wielu przeglądam wydawnictwa statystyczne polskie i zagraniczne. Do polskich mam pretensję. Twierdzę, że mogłyby być lepsze. Mamy zdolnych specjalistów. Mamy w tym dziale ludzi fachowych. A jednak prace ich wykazują niedociągnięcia.

Zacytuję parę przykładów.

Mieliśmy już dwa spisy ogólne ludności: w r. 1921 i w r. 1931. Niech ktoś z ciekawych spróbuje porównać wyniki ich. Do obydwu spisów użyto innych metod. Inaczej je też opracowano i opublikowano.

Dawniejsze spisy pozwalały nam na śledzenie powiatami a nawet gminami rozwoju wyznaniowego, narodowościowego, językowego ludności. Materiał ten służył i państwu i organizacjom społecznym i politycznym. Tak samo ułożony był spis z r. 1921.

Spis z r. 1931 ogłoszony został tylko częściowo. Szczegółowe wykazy ogłasza Główny Urząd Statystyczny co 10 dni w „Wiadomościach Statystycznych". W październiku 1936 r. dobrnęliśmy do woj. kieleckiego. Podawane tam wyniki spisu z r. 1931 są mocno przestarzałe. A do tego nie dają poglądu na stosunki w całem państwie. Ilu jest w Polsce żydów? Ilu Białorusinów? Ilu innych? Nawet po wydrukowaniu całego spisu z r. 1931 dokładnie nikt z nas tego nie będzie wiedział. Będzie to wyłączną tajemnicą rządu.

Statystycy nasi podawali przy spisie z r. 1921 narodowość polską, białoruską, niemiecką i t. p. Przy spisie z r. 1931 dodano język ojczysty. Do znanych dodano „tutejszy". Na niektórych tere-

nach wprowadzono do jednolitego dawniej określenia „narodowość rusińska” nowe określenie: język ojczysty ukraiński lub ruski, „narodowość żydowska” język żydowski z hebrajskim. Komisarze spisowi przynieśli nam materiał, który żadną miarą nie da się porównać z wynikami spisu poprzedniego. Otrzymaliśmy dużo „tutejszych” i nie mało „ruskich”. Rubryki te pochłonęły nawet tych, którzy bliscy byli wyznania się za Polaków.

Jakiż rezultat tych zmian? Mniejszości słowiańskie obliczają się bardzo prosto: wszystkich t. zw. tutejszych i ruskich zaliczają do „swoich”. A że osobno ich liczą Białorusini, a osobno Ukraińcy, przeto ogólna liczba mniejszości słowiańskich w Polsce — według obliczeń owych mniejszości — jest większa, niż łączna suma tych, którzy mówią językiem ojczystym ukraińskim, rosyjskim, ruskim, białoruskim i tutejszym. Faktycznej świadomości narodowej ani politycznej spis ludności nie zmienił, a pozwolił na fantazję i dowolność w obliczeniach nie tyle sobie i Polakom, ile owym mniejszościom. Mniejszości te uważają spis za sfałszowany. I w kraju i zagranicą szermują swoimi własnymi zestawieniami.

Dodajmy nawiasem: oficjalnie nie wiemy dotąd, ilu jest w Polsce ludzi, mówiących językiem białoruskim, ruskim i t. d. Wykazy statystyczne tych cyfr nam dotąd nie podały. Do cyfr przybliżonych dochodzimy w ten sposób, iż zliczamy publikowane powiatami wykazy i sami je całkujemy. A że nie mamy jeszcze opublikowanych paru województw, więc cyfry nasze kuleją i nie dają poglądu na całość.

Społeczeństwo polskie interesuje się żywo ilością żydów w Polsce i ich emigracją wewnętrzną. Niestety, statystyka oficjalna nie da nam na to pytanie ścisłej odpowiedzi. Tam, gdzie żydów jest dużo, statystyka uwzględnia wśród wyznań — wyznanie mojżeszowe i wśród języków ojczystych—język żydowski z hebrajskim. Ale tam, gdzie jest ich mniej—tam ulokowano żydów w rubryce „inni”. Tak zrobiono w trzech województwach zachodnich: na Śląsku, na Pomorzu i w Wielkopolsce. Tak tu i ówdzie zrobiono również z ewangelikami i z mówiącymi językiem ojczystym niemieckim. Statystyka ma pełną wartość dopiero wówczas, gdy daje wyniki pełne i zestawione według jednolitych metod.

Przez szereg lat wielkie roczniki statystyczne podawały co roku dość dokładny wykaz parcelacji według wyznań. Wiedzieliśmy więc dość dokładnie, ilu prawosławnych czy greko-katolików zakupiło ziemię. Byli nie-Polacy i między rzymsko-katolikami (Białorusini, Litwini, Niemcy), ale nawet z tą niedokładnością orientowaliśmy się ogólnie w rozmiarach posiadania ziemi. Od kilku lat rubryka ta znikła. A każdy przyzna, że ma ona kolosalne znaczenie.

W Małym Roczniku na r. 1936 widnieją cyfry podziału ziemi w Polsce jeszcze według spisu z r. 1921.

Wydawnictwa specjalne G. U. S. poświęcają dużo troski „bilansom płatniczym Polski”. Słusznie. Co roku wychodzą one według „ulepszonych wzorów i metod”. Przyznaję, że — wolałem owe dawniejsze, choć „gorsze”. Owe dawniejsze dostępniejsze były dla ogółu, choć może nie zadowalały gustu buchalterów i speców statystycznych. Dawniejsze pozwalały nam na szczegółowe śledzenie np. penetracji kapitałów obcych, zagranicznych, w Polsce. A teraz—mamy wszystkie w jednej tabelce ogólnej. Mnie np. (a sądzę, że i wielu w Polsce) interesuje kapitał niemiecki w Polsce. „Bilans płatniczy” za trzy ostatnie lata odmawia mi informacji w tym kierunku, choć G. U. S. materiały te posiada.

Możnaby mnożyć przykłady. Sądzę, że wyżej przytoczone wystarczają. Statystyka winna służyć społeczeństwu. Winna ułatwiać wyciąganie wniosków, orientację, tworzenie programów. Statystyka nie może być—tajemnicą urzędową.

Polska chce być państwem narodowem. Od statystyki wymaga, by nie chowała pod korcem wiadomości, ilustrujących prawdziwy stan rzeczy i kierunek rozwojowy Polski w najważniejszych dziedzinach gospodarczych, narodowościowych, wyznaniowych itd. Nie stawiamy żądań wygórowanych—są one możliwe do spełnienia.

STANISŁAW RYMAR

KRASIŃSKI W „ZWOLONIE” NORWIDA

4

PODNIOSŁO się stosunkowo obszernie ową istniejącą tutaj rozbieżność w wykładni zasadniczego problemu „monologii”; będzie to bowiem pomostem do kwestji, która, należycie rozwiązana, znowu, chociaż z innej zgoła strony, ujawni nam właściwą intencję przewodnią poety, pozwoli pełniej określić jego ówczesną podstawę myślową i uczuciową, odsłoni zarazem lepiej niektóre momenty konstrukcji samego utworu, ujawniając jego rodowód z wewnętrznych przeżyć autora, wiążąc go z nurtem życia.

W pierwszych zaraz słowach przedmowy do *Zwolona* nazywa Norwid utwór swój „fantazją” i zastrzega się, że go nie należy konkretyzować, nie ścieśniać jego wymiarów ogólno-symbolicznych, w szczególności nie doszukiwać się wśród osób dramatu odbicia któregoś z ludzi współczesnych. „Ani myśl tej fantazji, ani pojedyncze charaktery, i nazwy ich i dzieła, nie mają na celu nic takiego, coby mogło dotyczeć osobistości czyjejkolwiek”.

Nie odstraszony tą przestrogą wydawca *pism zebranych* pokusił się przecież o domysł, czyich też rysów realnych (choć oczywiście przetransponowanych poetycko), możnaby się dopatrzeć w postaci samego Zwolona. Dostrzega on w nim mianowicie rysy charakteru, kształtowane jakoby według postaci, nauczyciela Norwidowego," niepospolitego artysty i znakomitego człowieka, a którego uważano w stolicy ojczyzny za półobłąkanego, Klemensa Minasowicza[5]). Rysem jednoczącym miałoby tu być owo „półobłąkanie”, bo i o Zwolonie jedna z osób dramatu sądzi, „że on głupi”. Pozatem obaj oni byli samotnikami o zakroju mistycznym, obaj wreszcie artystami: Zwolon poetą, („panie poeta“ — mówi doń jedna z osób

[5]) Zob. sylwetkę J. K. Minasowicza przez J. W. Gomulickiego w *Myśli Narodowej* 1935, str. 261 n.

dramatu), Minasowicz malarzem, ale i poetą również, Wspólnoty tej trochę nam jednak zamało. W postaci Zwolona brak przecież naprawdę rysów patologicznych, których Minasowiczowi faktycznie nie brakowało, nie mówiąc o tem, że w dziedzinie najistotniejszej, w zakresie pojęć polityczno-moralnych, żadnej tu nie da się wykazać łączności, Echo Minasowicza więc w dramacie mogłoby być chyba tylko bardzo dalekie, dotyczyć może jakichś rysów zewnętrznych.

Kwestionując nieco rezultat komentarza, nie kwestionujemy przez to bynajmniej drogi, na której on został osiągnięty. Dopuszczalność domysłów i wypatrywań, doszukujących się w utworze ech konkretnego życia, odbicia pewnych osób i rysów realnych, wydaje się owszem uzasadniona. Uzasadniona i celowa. Nie w tym oczywiście sensie, żeby, dopatrzywszy się nawet pod wizją artystyczną poety śladów kanwy rzeczywistości, tłumaczyć i układ owej wizji takim czy owakim biegiem nici kanwy. Dzieło poety samoistne jest zarówno w konstrukcji swej całości, jak i w naturze poszczególnych elementów. Niemniej elementy te syciły się w jakimś stopniu realną rzeczywistością chwili i wydarzeń, zahaczają jakoś o faktyczne przeżycia poety.

Zwolon jest dramatem o rewolucji 1848 r., jest jakby sklepieniem historiozoficznem, „tęczową kopułą myśli", przerzuconą nad tamtymi wypadkami. Nad nimi właśnie, a nie nad czem innym. Poecie wprost zależało, żeby wiedziano o tem, uważał najwyraźniej, że zaznaczenie związku utworu z dobą przyczyni się do jaśniejszego wniknięcia w samo dzieło. Poddając więc Lenartowiczowi myśli do pożądanego artykułu o *Zwolonie*, zaznacza, że utwór „pisany jest na zaraniu ostatniego europejskiego ruchu, że spóźniony z wydrukowaniem (boć przecie może dosyć sumienni będą, rok utworu położą)". Trzebaż więc być na tyle także sumiennym, żeby ów rok i jego sprawy w tworzywie dramatu uwzględnić. Rok to ważny w dziejach formowania się struktury psychicznej Norwida, ustalania się jego poglądów politycznych i historiozoficznych, rok — można powiedzieć — przełomowy. Chcąc więc związać do pewnego stopnia *Zwolona* z życiem duchowem jego twórcy, musimy to i owo z doznań jego ówczesnych tutaj przypomnieć.

5.

Przypomnijmy zatem, że Norwid bawił w Rzymie od początku 1847 i że tam przeżył rewolucję 1848 r. Tam też poznał się on, zbliżył i zaprzyjaźnił z Zygmuntem Krasińskim. Znajomość zawiązała się wnet po przyjeździe Krasińskiego, zaraz w styczniu 1848 r., a stosunki bezpośrednie z nim przetrwały, ze zmiennymi coprawda kolejami, aż do śmierci. Spotkanie to było w skutkach doniosłe. „Od pierwszej chwili spotkania się z Krasińskim — pisze historyk tej przyjaźni — przylgnął Norwid do wybitnego przyjaciela. Przyjaźń weszła odrazu w stadium serdeczne i młody poeta wchodzi w kółko osób najbliższych, grupujących się około autora *Irydiona*. Zeszli się bowiem nie tylko dwaj ludzie, lecz dwaj poeci, i to w niezwykłej chwili historycznej".[6]).

Musiała to być przyjaźń osobliwego pokroju. Krasiński, choć 36-letni dopiero, miał już poza sobą okres wielkiej twórczości, stał na szczycie znaczenia, jako autor *Przedświtu* i *Psalmów* był jednym z naczelnych duchów przewodnich narodu. Miał też wyraźnie skrystalizowany program ideowy tego przewodnictwa. Norwid, tymczasem, choć o 9 lat młodszy, był twórcą ostatecznie dopiero początkującym, miał w dorobku trochę drukowanych wierszy lirycznych, w rękopisie jeden dramat, wielką zaś swą twórczość — całą przed sobą. Nic dziwnego, że odnosił się do Krasińskiego jak do mistrza, przewodnika, do „ducha-orła", jak go (za Trentowskim) nazywał.

Urok Krasińskiego-poety działał zresztą nań już dawniej; nie trzeba zbyt natężać uwagi by n. p. w wierszu *Italiam! Italiam!* (1846) dosłuchać się rytmiki i dopatrzeć się obrazowania *Przedświtu*. Są to zbieżności artystyczne. Pod względem ideowym zaś zbliżyć się miał do niego właśnie w Rzymie, pod urokiem obcowania osobistego. Zbliżenie to miało zaważyć na życiu wewnętrznem Norwida, na jego poglądzie na świat, w sposób przełomowy.

Jeszcze w grudniu 1848 r., na parę tygodni przed poznaniem się z Krasińskim, Norwid nie taił się z poglądami wcale liberalnymi: usprawiedliwiał rozruchy uliczne ludu rzymskiego (tłumacząc je „sztucznymi podmuchami" postronnymi), miał wyrozumienie dla niechęci mas do jezuitów, rad był szerzącemu się hasłu uwłaszczenia chłopów, i wogóle zdał się... „żadnego nie kląć ruchu". Co do mnie — pisał Zaleskiemu — jestem najszczęśliwszy, ilekroć widzę wielostronne, choć nie harmonijne jeszcze głosy. Pan Bóg jest nad tem wszystkiem, który założył wód granice i przepaści kołem pozataczał. A podobno najgorzej, kiedy apatia się rozgości, chociażby w karbach najskładniej określonych liniami".[7]).

Jeżeli zaś o stanowisko narodowe chodzi, miał się on za spadkobiercę żołnierzy spod Olszynki i sam mianując się „synem Grymhildy", a więc bratem Irydiona, nie lękał się wysuwać hasła zemsty:

A jam chłopię z dróg krzyżowych,
Z za trzęsawisk o l s z y n o w y c h,
Gdzie mdłe jęczą cienie, —
I głód zemsty w sercu u mnie
Już wyrodził się, jak w trumnie
Chude lisa szczenię.

Jednem słowem widzimy, że młody Norwid nie był zbyt odległy od podzielania haseł radykalizmu społecznego i narodowego, że nie oddalał się pod tym względem od niedawnego przyjaciela swego Władysława Wężyka.

Otóż wolno mi mniemać, że w tych zapatrywaniach jego zmieniło się niejedno w Rzymie 1848 r., oczywiście pod wpływem doświadczeń z rewolucji naocznie oglądanej, ale bodajże także i nie bez wybitnego przyczynienia się do sugestywnej ideologii nowego przyjaciela Krasińskiego. Niewiele upłynie czasu, a Norwid dojrzy i uzna, że ani ferment „nieharmonijnych głosów", ani zewnętrzne usuwanie bolączek społecznych (n. p. kwestii własności), ani nawet zapiekła pasja zemsty narodowej, — to nie jest jeszcze rzecz główna. Rzeczą główną jest przebudowa duszy polskiej, moralno-religijne jej odrodzenie, skierowanie jej pędu ku anielstwu. To przeistoczenie dopiero sprowadzi Polskę z manowców na właściwą drogę wyzwole-

6) Kossowski St. *Krasiński a Norwid*, Lwów 1912, str. 16.

7) *Garść listów*, str. 125.

nia, od konwulsyjnego szarpania się między trafami, powiedzie do świadomego i niezawodnego czynu.

Wolno przyjąć, że to Krasiński właśnie odsłonił przed Norwidem taką teleologię niewoli i cierpienia, odkrył mu tę prawdę, którą on niebawem wyrazi w przedmowie do *Niewoli* (1848), przywodząc Polsce na wzór Sokratesa. Ten „obrażenie od kajdan, wytłoczone na nodze, uważał za treść i za przykład, popierający rzecz o bolu i stosunku do bolu do żywota, — panując wyraźnie tym sposobem nad fatalnością położenia, owszem, rosnąc w wolności, nie do pokonania pewnej siebie". Teleologia to zatem jasna: docisk niewoli jest na to, by pod nim wyróść, utwierdzając w sobie nową, wyższą formę człowieczeństwa, by go przemóc wysiłkiem wewnętrznym, dorastając w sobie do wolności „nie do pokonania pewnej siebie". Taki właśnie był zasadniczy zrąb owoczesnej ideologii narodowej Krasińskiego, taki sens koncepcji o „próbie grobu". Trumna niewoli to nie schronienie dla szczenięcia wychudłego z głodu zemsty, ale to kolebka, w której się dorasta do zmartwychwstania.

Ta szczytna konstrukcja ideowa porwała i zachwyciła Norwida; nie odjął się on jej urokowi. Raz po raz widzimy, że podziela on poglądy, że wiąże się z ideowem stanowiskiem autora „Psalmów". Wystarczy rozpoznać co i jak mówi w liście do Siemieńskiego (*Zarysy z Rzymu*, grudzień 1848) o trzech dobach dziejowych: wiary, nadziei i miłości, co sądzi tam z wyraźnem już powołaniem się na *Przedświt* — o stosunku pokolenia obecnego do przeszłych („gdzie tamci po staremu, ci po nowemu niech zmierzają, — jak mówi Duch-Orzeł"). Postawiony zaś na rozdrożu między Mickiewiczem a Krasińskim z racji formowania się legionu — wiemy, że po bardzo krótkiem wahaniu stanął przy Krasińskim a przeciwko Mickiewiczowi, przeciwko ideologii jego *Symbolu politycznego*. Wydając sąd o nim w liście do Skrzyneckiego (15.IV.1848), posługuje sie określeniami wyraźnie zaczerpniętymi z owoczesnego słownictwa Krasińskiego (...„znalazłem go: albo nałogowo tak już ugrzązłym w tym kierunku radykalizmu mistycznego, że się wydobyć zeń nie może, albo najpotężniejszym oszukańcem, jakiego przykładu dotąd niema. Ten człowiek straszny jest dla Polski...").

Najwyraźniej „duch-orzeł" porwał za sobą „orlika". Norwid wszedł w zakresie pojęć społeczno-politycznych w orbitę wpływu genialnej umysłowości Z. Krasińskiego. Ale tego nie dosyć; dobroczynna rola Krasińskiego na tem się nie ograniczyła. Zaważył on na życiu Norwida czemś więcej. Nie dość, że mu odsłonił nowy widok świata, że otwarł szerokie horyzonty historiozoficzne, że go postawił przed szczytnie pojętym obowiązkiem posłannictwa, — ale zarazem obudził w nim wiarę w siebie, poderwał zwątpiałą energię, t. zn., żeby się posłużyć terminem Mickiewicza: dał mu rozkaz i siłę z rozkazem.

Wskutek zaznaczonej różnicy wieku, wskutek dystansu zasługi i znaczenia, złożyło się, że Norwid nawet w osobistym uczuciowym stosunku tak się odnosi do Krasińskiego, jak uczeń do mistrza. Zresztą podonczas wogóle wobec starszych poetów łatwo przybierał on postawę początkującego młodzieńca; słyszeliśmy dopieroco, jak się mienił „chłopięciem" w wierszu do Zaleskiego (1847). Podobnież było i w odniesieniu się do Krasińskiego, co ten zresztą przyjął i utrzymywał. Traktował on Norwida jako niepospolitego — ale właśnie młodzieńca. „Co też za styl nierozgmatwany u tego chłopca" — pisał o nim do Orpiszewskiego z początkiem r. 1849.

„Chłopcu" temu jednakowoż wyjątkowo wielką rokował przyszłość, wysokie doń wiązał nadzieje. Naznaczał go niemal na swego w służbie poetycko-narodowej następcę, na tyle jednak szczęśliwszego, że mu danem będzie wejść do ziemi obiecanej, za którą on próżno już wypatruje oczy.

Takie szacowanie młodego poety przez Krasińskiego ujawniło się szczególnie wyraźnie w pewnego rodzaju jakby rozmowie poetyckiej, jaką obaj przyjaciele prowadzili z sobą niedługo po rozstaniu.

Latem 1848 r. (w lipcu) Norwid, zgnębiony osobistemi niepowodzeniami, zarazem widokiem złowrogiego (jak sądził) obrotu rzeczy politycznych, wpadł w (chwilową) prostrację duchową i poddał się nastrojom jakby anhellicznym. Gotów był mniemać, że jemu, jak i całemu rówieśnemu młodemu pokoleniu, pisana jest jakaś tragiczna zatrata. Spowiadał się z tego Skrzyneckiemu: „Powtarzam bliższym moim znajomym, że w prologu tej dramy steram siły żywotne i że tym sposobem akt jej pierwszy będzie aktem ostatnim. Całe to pokolenie jest na hekatombę dla przyszłości, zniszczy się jak narzędzie potrzeby jakiejś, co nie była. I szczęśliwi jeszcze, którym nie dano rozumieć tego położenia" (1.VIII.1848). W tym nastroju napisał on do Krasińskiego wiersz:[8])

Od anioła do szatana
Ta dziecina gnana, szczwana,
Kiedyż trupem padnie?

I niemowląt już nie będzie,
Psalmujących jak łabędzie,
Kiedy śmierć je kradnie.

I ramiona młodociane,
W bezimienny puch rozwiane,
Dziejów nazwą śmieciem.

A sto wiosen razem błyśnie
Dla zrodzonych naumyślnie,
Skoro my odleciem!

Wiersz jest utrzymany w tonacji rzeczywiście minorowej; mówi przez niego tragizm najmłodszego pokolenia, szarpanego między ostatecznościami nadziei i rozpaczy i skazanego — zdawało się — na zmarnienie.

Krasińskiemu spodobał się wyraz artystyczny utworu, przesłał też zaraz Delfinie „te wiersze bardzo ładne, gdzie (Norwid) sobie śmierć wróżył". Ale nie przyjmował bynajmniej wyrażonej tam myśli melancholicznej. Przeczucia owe młodego przyjaciela odparł gorącem zaprzeczeniem. Nic podobnego! To nam, starszemu pokoleniu, pisana jest śmierć na tułactwie, ale wy młodzi, ty młody poeto — dojdziesz po naszym zgonie do obiecanej ziemi wolności, zobaczysz jeszcze, jak się zło w sobie nawzajem wytrawi, jak wzejdzie święty świat, jak Polska wyzwolona stanie na szczycie wieku w najwyższej apoteozie. Żale „młodocianego" poety odpierał gorącym wybuchem wiary w osobnym wierszu do Norwida:[9])

---

[8]) Ogłosiłem go po raz pierwszy w Tęczy 1930 r.

[9]) W wiersz ten weszły dosłownie pewne zwroty napisanego niedawno *Psalmu żalu*.

Tyś nie śmierci łup!..
Ty wytrzymasz sądy Pańskie
Na czas-czasów zwrót:
Rzeczpospolity szatańskie
I północny knut!..

A kto zacny — ocaleje,
A kto zacny — święte dzieje,
Święty rozpocznie świt...

Co ja widzę w przeczuć mroczy,
To ty ujrzysz na twe oczy...
Snów twych ujrzysz wżywotwzięcie
Tyś nie śmierci łup!
Skrzydlanym jeszcze wzlecisz lotem,
Gdy z trupami ja pokotem
Leżeć będę — trup!

W poetyckiej rozmowie tej, zauważmy, sprawa toczy się — jużci, między pokoleniem a pokoleniem: jednem schodzącem już w progi śmierci i drugiem wstępującym w bramę życia; ale więcej jeszcze między poetą-wodzem, któremu nie dane jest dokonać dzieła, i tym drugim, który je podejmie i poprowadzi dalej, wzleci przed naród „skrzydlnym lotem", w nową erę dziejów, „święty rozpocznie świt". Wiersz Krasińskiego to nietylko głos wiary i otuchy ale to akt pomazania, przelania władzy na następcę przez włożenie rąk. Poeta-mąż przekazuje posłannictwo poeciepacholęciu, naznaczonemu na przyszłego zwycięzcę. Tak przynajmniej tę sprawę pojął — sam młody poeta namaszczony.

(Dok. n.) STANISŁAW PIGOŃ

TWÓRCA POLSKIEGO IMPRESJONIZMU

Pamięci Leona Wyczółkowskiego

MIAŁ swoje specjalne powiedzenia: krótkie, dosadne, a przedewszystkiem niezwykle barwne, czasem wprost fantastyczne. Lubił też posługiwać się sentencjami, których okresowo i obficie używał. Kiedy poznałem go i zostałem jego uczniem, stale padało z ust jego z jakąś wybuchową energją wyrzucane; *non plus ultra*.

W ciągu wielu lat oglądania i wchłaniania coraz to nowych dzieł jego malarskich, czasem w chwili powstawania, czasem w „wykończonych" rzutach, czasem w obecności samego twórcy, czasem zdala od niego zawsze brzmiało mi w uszach, stawało w umyśle, to zwycięzkie, tryumfalne: *non plus ultra*.

Nie ponad to, — nie ponad ten zachwyt w słonecznej barwności świata, — ponad tę szaloną energię radości twórczego życia.

Leon Wyczółkowski, ten: „niezmorzony starzec", jak go nazwał Stanisław Witkiewicz, twórca polskiego impresjonizmu, był nieustannie wybuchającym wulkanem, przedziwnie swoistej polskiej energii.

Kiedy widziałem go przed sztalugami, odnosiłem czasem prawie niesamowite wrażenie, jakby on swoje płótno, czy papier atakował, jakby zdobywczo nacierał, mocą czarodziejskiej sztuki wywołując z gęstwy plam przedziwne, barwne wizje. Wyraziste ślady tego natarcia, tych szalonych, a przecie nie bezładnych, a mistrzowsko celowych i pewnych szermierskich cięć noszą na sobie wszystkie obrazy Wyczółkowskiego. Niezawodnie też one stanowią jedną z tajemnic suggestywnej mocy Wyczółkowskiego.

Ten kipiący energią twórca podlasiak, o jakiemś wschodniem, turkmeńskiem zacięciu w swej szeroko-jarzmowej twarzy, jest do szpiku kości, do jądra duszy polakiem. Najcenniejsze elementy charakteru polskiego, odzywające się echem jakowychś kresowych zagończyków, zawodzących tany z tatarami, skupiły się w jego twórczości, czyniąc go tak żywotnym, tak samorodnym wodzem impresjonizmu polskiego.

Impresjonizm, który się narodził z wystąpieniem Edwarda Manet'a w *Salon des Rufusés* w r. 1863 na zachodzie, we Francji swej ojczyźnie, nosił na sobie znamiona wieku „naukowego", pozytywistyczno-przyrodniczego i eksperymentalnego. Cała jego praktyka była doświadczalnem stosowaniem teorji o promieniu słonecznym, o widmie spektralnem o analizie i syntezie świetlnych drgań. Była to badawcza i metodyczna naukowo-artystyczna praca, której torami poszli E. Degas, Claude Monet, A. Renoir, a dalej Pissaro, Sisley i wielu innych we wszystkich krajach Europy i Ameryki. Był to tryumf słońca, — istny kult słońca — Ale tryumf i kult „naukowy".

Tąż drogą szli i nasi naśladowcy francuzów jak A. Gierymski i Podkowiński. Z tego się rodził i wibryzm i puentylizm jako specjalne eksperymentalno-techniczne poczynania. Z natury rzeczy, był to ruch kosmopolityczny, który dopiero później i to z pewnym trudem nabierał cech narodowych w poszczególnych krajach. W źródle swem był to artysta podporządkowany fizykowi.

Ale oto kiedy Lecomte wydał swoje dzieło: „*L'Art impressioniste*" (r. 1892), — tworzył już nowy impresionista, odmienny, — swoją siłą spontaniczną nieskończenie tamtych przewyższający, — a zarazem od nich najzupełniej niezależny.

Tym impresjonistą, który nie zdobywał swej sztuki poza granicami kraju, który jak łoś lekkim i szybkim chodem wyłonił się z bagnisk Wołyńskopolskich był Leon Wyczółkowski. Nowy artysta nie zaciekał się w teorie naukowe, tworzył z pasją we wspaniałej glorji blasku słonecznego, podporządkowując fizyka artyście. „Sobie śpiewał nie komu, swe nie cudze rzeczy".

Wyczółkowskiego impresjonistą, spontanicznego malarza słońca i barw, wytworzyła samotnia Wołyńska, mimo iż już poprzednio miał za sobą bogatą i pełną zapowiedzi twórczość.

W szkole W. Gersona zdobył fundamentalną konstrukcję rysunkową, która następnie uczyniła tak niezawodnem tak pewnem uderzenie jego pędzla. Odtąd kanwę rysunkową stale miał przed oczyma, nie tracąc jej nawet wśród najbardziej impresyjnych rzutów.

Krótki pobyt zagranicą, monachijski, nie wiele mu dał (dobrze że go nie popsuł, tak jak paru innych naszych malarzy).

„Mistrzowska szkoła" *(Meisterschule)* Matejki w Krakowie znowu rozszerzyła jego horyzonty

i wzbogaciła technicznie. Mają tu znaczenie nietylko historyczno-tematowe inspiracje („Ucieczka Maryny Mniszchówny"), które rychło porzucił, ale i zaciekłe, pełne lubownictwa studia martwej i żywej natury (materie, porcelany, — kwiaty). Tu Matejko tchnął swe upodobania w ucznia, a nadto obdarzył swem mistrzowskiem, śmiałem uderzeniem pędzla. Wyspiańskiemu dał on swoją barokową linię. Wyczółkowskiemu swoją zamaszystą plamę barwną. Wykształcił też dwu najoryginalniejszych i najwspanialszych malarzy kwiatów w sztuce polskiej Wyspiańskiego i Wyczółkowskiego.

Tak zostały przygotowane podstawy dla polskiego impresjonisty i polskiego impresjonizmu. Reszty miał się nauczyć od żywej przyrody ojczystej, od naszego nieba, od naszych słonecznych zachodów, od wód i szuwarów bagiennych, a wszystko to przetopić w swoim bojowym temperamencie zdobywców kresów Wschodnich, pokoleń pionierów kultury zachodniej.

Kiedy po okresie swojej twórczej samotni Wołyńskiej, swojej „arki" i swoich „połowów rybackich" nasyconych gorącemi blaskami słońca zachodu, został profesorom szkoły, w której niegdyś był uczniem, szkoły Matejkowskiej, — był już w pełni rozkwitu swego samorodnego polskiego impresjonizmu. Zwycięsko odbijał żarem swojego uczucia od zimnych i płaskich, kombinatorskich impresjonistów francuskich i naszych naśladowców Paryża.

Ich skądinąd ciekawe i niepospolite dzieła nie mogły dosięgnąć wyżyn bezpośredniości artystycznej i temperamentu Wyczółkowskiego. To też Wyczółkowski był istotniej, prawdziwiej impresjonistą, niż którykolwiek z nich, — był nadomiar ekspresjonistą zdolnym nie tylko zaciekawić,— ale porwać widza, chłonącego ulewę jego barwnych płatów.

Wyczółkowski należał do tych niezwykłych, niezmożenie twórczych natur, które nigdy nie ulegają rutynie, nigdy nie wpadają w szablon, — zawsze do ostatniego tchnienia rozszerzając swoją działalność, zdobywają coraz to nowe pola i formy twórcze.

Przypominam sobie wspaniałą chwilę, kiedy pod sześćdziesiątkę zdążający malarz, zamiast spoczywać na laurach swej twórczej i profesorskiej chwały, z młodzieńczą pasją rzucił się do ataku na Tatry. Ku zachwyconemu zdumieniu Witkiewicza, z jednym góralem obładowanym sztalugami, blejtramami i pudłami pastelowych kredek, „dał nura" na szereg tygodni w głąb szczytów skalnych.

I ten to „skok na hale" przyniósł w rezultacie przecudny, jedyny w swoim rodzaju w całej sztuce świata, „Cykl pasteli tarzańskich".

Wyczółkowski zjawił się nam w nowej niebywałej dotąd postaci. Podczas kiedy dawniej w godzinach swoich „zachodów", był jędrnym, surowym w swoim kolorystycznym rozmachu, w swoich kontrastach (żar słońca i chłód cienia). Rąbał jak drwal polski siekierą. Teraz rozwinął przedziwnie subtelną w bogactwie swem gamę barwną, pełną półtonów i ćwierć tonów, stonowań i przelewań, a tak przeczystych, że aż świetlistych.

Narodził się nowy artysta.

Wślad za "Sonetami Krymskiemi" Mickiewicza, — obok sonetów „nad głębiami" Asnyka i „Sonetów Tatrzańskich" Nowickiego, powstały „Tatrzańskie Sonety barwne" Wyczółkowskiego.

Ta niezrównana energia zdobywcza kazała jeszcze w ciągu następnych prawie trzydziestu lat odbyć kilka takich niezwykłych przemian, takich młodzieńczych odrodzeń.

Wyczółkowski jest przedewszystkiem i nadewszystko kolorystą, cały świat jest dla niego jedyną barwną tęczową powodzią, żywą i mieniącą się. Tak dalece żywą, a zarazem istotną, że nawet wtedy, kiedy tworzy swoje znakomite dzieła czarno-białe, graficzne, nie przestaje być kolorystą. W jego tekach litograficznych wśród czarnych smug i plam nie przestajemy wyczuwać drgnień barwnych, podnoszą się one w naszej malarskiej wyobraźni istnym korowodem wizji. Na dachach domów Warszawy, Krakowa i innych miast Polski, w głębi plątanin leśnych, wszędzie gdzie sięgają źrenice i ręce Wyczółkowskiego widzimy tę barwną zamieć. Jest to tryumf zwycięskiej kolorystyki.

Rozpoczął od obrazu religijnego i dał w tym zakresie kilka wspaniałych dzieł a choć całkowicie oddał się przyrodzie ojczystej, pierwiastek nieustannego hymnu religijnego stopił się w nim z żywiołową energią twórczą o tak rdzennie świetnym charakterze polskim, że był w całym tego słowa znaczeniu nieodrodnym synem narodu.

I to uzdolniło go do stworzenia osobliwego narodowego polskiego impresjonizmu.

LUDOMIŁ SZRENIAWA-CZERNIEWSKI

STROFY

CHIŃSKI MOST

Chiński most z czarnej laki
nad zielonym potokiem —
i cztery białe ptaki
strzegące przed urokiem —

I koraliki w sercu
w porządku nanizane,
o, przemądrości mędrców!
nic, że są szklane.

To są „góry po deszczu"
na starym chińskim pejzażu,
i podnoszą się jeszcze
mgły — pod słońcem — miraże.

I dwa smoki na szczycie
malachitowej wazy
chcące pożreć słońc życie —
są już sztuką bez skazy.

LAMPA ALADYNA

Księżyc — słońce Aladynowe
prowadzi między ruiny —
cicho szemrzą bukowe
szczyty i głębiny —

Woda się sprzysiężyła
z tajemnicą milczenia
zawinęła, ukryła
serce pełne jej drżenia —

Cicho pójdzie pod wodę
księżyc — słońce Sindbadów —
czy życie jest młode —
jeśli przeszło sto sadów —

Sto sadów w srebrnej ciszy;
i milczeń sto tysięcy —
Aladynie: lampa jest w niszy —
i nie chodźmy więcej.

HELENA RADZIUKINASÓWNA

NA WIDOWNI

Rocznica puszkinowska — Przez szkolną lekturę do zachwytu — Tajemnica pojedynku — Konflikt wielkości z przeciętnością — Nieśmiertelne kobiety nieśmiertelnych poetów.

MIAŁEM właściwie zamiar pisać o czem innem, ale jednak przemogła we mnie chęć uczczenia puszkinowskiej rocznicy; w „Myśli Narodowej" nic jeszcze o nim nie pisano i tę lukę ja właśnie chciałbym zapełnić, swojem wprawdzie nie fachowem tu piórem, ale zato bardzo w tym najczarowniejszym z poetów świata, rozkochanem.

Pamiętam dobrze moją pierwszą z nim znajomość, — byłem wtedy w szóstej jeszcze klasie i w jedne święta Bożego Narodzenia szukałem sobie lektury — romantycznie ze świecą w ręku bo było to na wsi i wieczorem. Przerzucając różne książki trafiłem wreszcie na mały niepozorny tom „Oniegina" i wziąłem jako coś pół obowiązkowego a przydatnego w rodzaju „Jerozolimy wyzwolonej", czy innych nudnych już klasyków. Ale doznałem przyjemnego rozczarowania, — ów „romans wierszem" wziął mię odrazu, czytałem go długo w noc, upojony lekkością jego formy i trafnością spostrzeżeń. Czytałem go też wiele razy później tak często jak żadną inną książkę w życiu i bezboleśnie wyuczyłem się tysiąca wierszy na pamięć. Przez swojego „Oniegina" Puszkin stał się moim stałym towarzyszem i rozkochałem się w nim tak, że swoje wiersze (każdy z nas je kiedyś pisał) układałem najchętniej w onieginowską strofę — tę cudowną kuzynkę oktawy, tak dziwnie wdzięcznie uderzającą polskie ucho czystością swoich męskich rymów. Najpierwsze zachwyty dla polskich Tatian i polskich Bałdinów powtarzałem za Puszkinem.

Ale tym podobieństwom formy nieudolnie branej za wielkim poetą odpowiadało i podobieństwo natchnień. Olga, Tatiana, Łarinowie wszyscy ci Rosjanie europejskiego newsko-wychowanka carskosielskiego liceum kręcili się obficie po polskiej prowincji — mieszkali w takich samych jak onieginowskie dworach, z takim samym zapałem na wiejskich imieninach tańczyli mazura i podobnie do różnych mądrości się odnosili jak sam zblazowany Eugieniusz. Lubiłem też ten romans może dlatego tak szalenie, że mało w nim dla mnie było Rosji, a dużo owego szlacheckiego życia, którego wdzięk jeszcze sam mogłem oceniać i które tak bardzo rozumiałem. To co u Puszkina było satyrą na ten świat, pewnym przekąsem i to co rzewną do niego miłością przemawiało do mnie porówno, bo i ja mogłem jak on powiedzieć

„wsi ciebie kocham sercem szczerem,
Ja kocham każdy polny kwiat!"

Ten cudowny poemat wskazał mi skolei drogę do ślicznych liryków — a one jak i osobiste dygresje romansu kazały się zająć nieszczęśliwem życiem poety i rozmyślać nad jego tragicznym losem. Nie będąc „puszkinowiedem", tłumaczyłem je sobie po prostemu, to co przeczytałem nadrabiałem rozmyślaniem, starałem się odgadnąć motywy postępowania i odgadnąć tajne sprężyny tego „romansu", który przeżył sam Puszkin. Życie każde można ułożyć w powieść, a to którego bohaterem był genialny poeta i które kończyło się tak tragicznie szczególnie pociągało do rozważań. Dramat małżeński Puszkina z jego „stotrzynastą miłością" rola w tem d'Antèsa wina Natalii i powody szczególnej zaciekłości pojedynku to były rzeczy o których często myślałem.

A teraz właśnie, w tę rocznicę, przypomniał mi te wszystkie od dawna rozważane sprawy Parnicki swoim świetnym jubileuszowym artykułem. Napomknął jakoby car był kochankiem Natalii, a d'Antès tylko pojedynkowym figurantem. Tak orzekli bolszewiccy uczeni i ja oczywiście nie mogę się im w swej niewiedzy sprzeciwiać, ale jednak z tą nową wersją nie mogę się jakoś bardzo pogodzić, — zanadto przywykłem do starej i zanadto wierzę w jej własne psychologiczne uzasadnienie.

Zapewne, że jeśli rzeczywiście car maczał w tej całej przykrej aferze ręce, to jej ponurość ogromnie zyskuje na sile i wyrasta ona w coś co z całą mocą oskarża obalony przez przewrót reżim. Ale czy w tem właśnie nie leży źródło owego sensacyjnego odkrycia? — Co za szkoda, że dokładnie tamtej wersji nikt nam nie powiedział, bo niesposób oczywiście ją kontrolować poomacku; pozorne jej luki i nieprawdopodobieństwa mogą się okazać nieistniejącemi, a całość rzeczywiście mocno zmontowana i mocno udokumentowana. W każdym razie wiem jedno — nie trzeba tych komplikacyj, by usprawiedliwić ów nieszczęsny pojedynek i by nie widzieć w nim bezmyślności, o co czasem tak niesłusznie był oskarżany.

I nawet, gdyby w Natalji nie kochał się car, i gdyby rywalem poety był tylko marny d'Antès i tak sprawa byłaby dość tragiczna i dość nieszablonowa. Zwykły trójkąt małżeński przestaje być zwykłym, gdy chodzi o geniusza i urasta niemal do symbolu, zwłaszcza gdy przeciwnikiem jest taka uosobiona przeciętność, czy raczej właśnie marność, jak ów gwardyjski oficer, i gdy między temi dwoma mężczyznami stoi kobieta daleka od wszelkiej szatańskości i więcej może lekkomyślna i słaba jak naprawdę zła.

Dość wstrząsającem chyba będzie ten kontrast między geniuszem poety, którego czeka nieśmiertelność, a oficerkiem co doskonałym pewno był tylko w flirtach, piciu i tańcowaniu, a jednak w wyścigu o przychylność kobiety okazał się zwycięzcą. Kontrast tem tragiczniejszy, że donżuański Puszkin potrafił lepiej kochać od d'Antèsa i choć miał jak i on bez liku miłostek — miał też w swoim życiu i wielką miłość (do Rajewskiej) o jakiej tamten nawet wyobrażenia mieć nie mógł, — a jednak w ocenie kobiety, którą uważać należy za bądź co bądź tylko przeciętność a nie zepsutego demona, ten bezsprzecznie większy musiał ustąpić temu, którego walory bardziej przemijające, bardziej częste, bardziej też jednak pociągały. Czy obrażona miłość własna poety, dręczące poczucie, że t a k i D'Antes go ubiegł, nie mogło rozżarzyć do cna jego zazdrości i aż nadto usprawiedliwić zaciekłe strzały do owego „figuranta"?

Ale cały ten pojedynek, życie Puszkina i wogóle życie większości chyba wielkich ludzi w nieszczególnym naogół świetle przedstawia kobiety. Koło Puszkina więc unosi się ta Gonczarówna co swoją przeciętnością, swoim brakiem zrozumienia dla genialnego męża doprowadziła do pojedynkowej tragedji, i drugi jeszcze duch świetlany Rajewska, która jednak nie uwierzyła w jego miłość. Sama niewątpliwie nieprzeciętna, skoro poszła za niekochanym mężem na Sybir, wolała jednak z dwojga złego mieszczącą się całkowicie w ra-

mach zwykłości życia doskonałość Wołkońskiego, jak tamtą tak nie szablonową poety. W podobny zresztą sposób postąpiła z Mickiewiczem Maryla, a z jeszcze innemi cały legion innych. Były więc i „Panie Jasne", ale było więcej takich, co powtórzyło ów dialog (chyba z „Nowej Dejaniry"?).

„Pan latasz po powietrzu — ja chodzę po ziemi,
Pan w świecie marzeń szukasz złudzeń i mamideł,
— Ja do lotu niezdolna, pozbawiona skrzydeł,
Mocą moich nawyknień wstrzymana na dole,
Szukam prawdy i nagą rzeczywistość wolę".

I wszystkie one bardzo po kobiecemu szukały nie tyle owej prawdy, co właśnie rzeczywistości. I ostatecznie, wnikając głębiej w te sprawy, trudno je nawet o te rzeczy winić, — czemuż ci poeci nie starali się być bardziej rzeczywiści, bardziej w pewnym sensie „przeciętni" — ich wielkość napewno by na tem nie straciła. A sprawiedliwość każe przyznać, że z nich wprawdzie nie wszystkie, ale bodaj czy nawet nie znakomita większość, próbowała przecież jednak w miarę sił swoich „latać".

A co najważniejsze, że nawet wbrew swojej woli były jednak natchnieniami do najpotężniejszych najpiękniejszych utworów, a po latach figurują sobie w słownikach biograficznych nieśmiertelne — nieśmiertelnością tych właśnie, których za życia odrzuciły, — niezwykłe bo oni kiedyś na aie zwrócili swe oczy. Słowem co się zowie wygrały batalię życiową, salwując i doczesne szczęście i pewne miejsce w Panteonie nieśmiertelności, o której nigdy nawet nie marzyły, była im zdecydowanie niepotrzebna.

KAROL STEFAN FRYCZ

OBOZY

Po DZIESIĘCIU latach walki z t. zw. partyjnictwem przy użyciu wszelkich sposobów z dwukrotną zmianą ustawy konstytucyjnej włącznie, dochodzimy obecnie do punktu, od którego zdecydowanie odżegnał się kiedyś zamach majowy. Partyjnictwo krzewi się nie tylko w „totalnie" wybranym parlamencie, ale również i w kraju, gdzie po dawnemu żyją w całej pełni stare stronnictwa polityczne. Niedawno omawialiśmy na tem miejscu sprawy kongresu Stronnictwa Ludowego, dzisiaj z kolei zajmiemy się kongresem Polskiej Partji Socjalistycznej odbytym przed kilkoma dniami w Radomiu.

KONGRES P.P.S.

Kongres P.P.S. radomski stara się prasa socjalistyczna podnieść do wydarzenia wielkiej miary, rozdmuchuje je, wydając specjalne numery „Robotnika", poświęcone przebiegowi obrad, uchwałom, oraz rezolucjom. A więc podano do wiadomości ogólnej pogląd P. P. S.'u na politykę zewnętrzną i wewnętrzną, poruszono „programową propagandę antysemicką", wreszcie ogłoszono idee przewodnie „nowego" (!) programu. Powiedzmy odrazu: nowością jest tu zapewnienie o ... nowości. Pozatem słabo przewietrzone stare tezy, stare poglądy, stare... — typowi, swoją drogą konserwatyści!

Nie będziemy się dłużej zastanawiali nad powszechnie i od lat znanemi formułkami, hasełkami i frazesami. Zatrzymamy się jedynie przez chwilę przy tych oświadczeniach, które są odbiciem wewnętrznych zmian, oraz konsekwencją tego — zwekslowaniem na inne tory taktyczne.

Przedewszystkiem na kongresie starły się dwie koncepcje: posła Niedziałkowskiego, oraz Norberta Barlickiego i Dubois. Poseł Niedziałkowski przesiąknięty na wskroś dziewietnastowieczną ideologią wolnościową i demokratyczną, szczery entuzjasta wyblakłych nawet dla jego partyjnych kolegów haseł Wielkiej Rewolucji Francuskiej, stał na platformie głoszącej, wyznającej te hasła. Konsekwencją tego było stanowcze odgrodzenie się od możliwości współpracy P. P. S. z partią komunistyczną. „Stosunek — głosi uchwała — komunistów do frontów ludowych wogóle, a do socjalistów w szczególności, pozostał i nadal stosunkiem nieszczerym, nieraz w istocie wrogim. Komuniści stosują wciąż swoje metody dywersyjne w ruchu socjalistycznym, nie cofając się przed podrywaniem autorytetu organizacyj i kierowników socjalistycznych czy zawodowych". Jak widzimy oświadczenie wcale ostre i jakby trzeźwe przetarcie oczu. A więc... w czerwonej rodzince spory. I to niebylejakie. Uchwała, nakazująca kategorycznie pisywać „towarzyszom" zrzeszonym w partji do prasowych organów partyjnych jedynie i wyłącznie, grozi podmyciem fundamentów „Dziennika Popularnego". Co zrobią p. Barlicki i Dubois, ta właśnie kłopotliwa dwójka — nie wiadomo.

W łonie P. P. S-u walczą tedy dwie koncepcje: jedna, reprezentowana właśnie przez p. Niedziałkowskiego, pragnie nawrotu do centrolewu, współpracy najściślejszej ze Stronnictwem Ludowem, druga widzi sojusz jedynie w harmonii z komunistami. Pierwsza reprezentnje pięć przymiotników stawianych przed słowem „głosowanie" a to: powszechne, równe, tajne, bezpośrednie, proporcjonalne, druga t. zw. „dyktaturę proletariatu". Jedna jest mieńszewicka, druga bolszewicka. Narazie mieńszewicy górą.

Tamci jednak nie dają za wygraną. P. Dubois wcale trzeźwo, chociażby na podstawie obserwacji kongresu Stonnictwa Ludowego, który w stosunku do P. P. S-u zachował się nad wyraz ozięble, przestrzegał przed zbyt optymistycznem nastawieniem. „Na płaszczyźnie czysto socjalistycznej — mówił — porozumienie z chłopami będzie trudne. Podstawą porozumienia winna być walka z faszyzmem". A dalej: „W zagadnieniu t. zw. jednolitego frontu nie chodzi o zawarcie paktu z komunistami. Ale staje przed nami konieczność rozszerzenia platformy walki na wszystkich wrogów reakcji. Nie można rozproszkowywać sił. Dlatego też nie czas na rozprawę z komunistami. Twórzmy jeden front walki z faszyzmem". Może niezbyt jasno sformułowane, niemniej jednak aż nadto wyraźnie powiedziane.

Koncepcja ta jednak upadła. Wierna swoim starym zasadom, zwyciężyła P. P. S. Skłonna do paktów gatunku parlamentarnego. Bodaj pozór wspomnień dawnych przeżyć...

— — — — — — — — — — — —

Nie łudźmy się zbytnio prądem, który chwilowo odniósł zwycięstwo. Gdyby nawet miało być ono trwałem, tem może dla nas gorzej: centrolew mający jakie takie oparcie w masach (którego nie posiadają komuniści) urabiałby owe masy w kierunku, którego może nawet dzisiaj szczerze nie pragnie. W masie — wiadomo — zwycięża najbardziej zgrany zespół. Najbardziej zgrany i najbardziej skrajny.

Nie łudźmy się więc zbytnio — powtarzam — i baczmy pilnie na rozwijające się zdarzenia i wy-

padki polityczne. Baczmy pilnie, a może dojrzymy w punkcie tyczącym się obrony niepodległości nieśmiałe zrazu, ale kokieteryjne zerknięcie w stronę sanacji. Kokieteria to z gatunku tej, co się opiera na sentymencie wspomnień. W uchwałach radomskich jest taki sentymencik.

O CO WALCZY OBÓZ NARODOWY?

Klub radnych Obozu Narodowego w Łodzi ogłosił deklarację ideową, z której powtarzamy za „W. Dzien. Narod." (Nr. 31) ustępy zasadnicze.

„Obóz Narodowy stoi na jedynie słusznem stanowisku, że obowiązkiem jest wszystkich Polaków i wszelkich władz zarówno państwowych jak i komunalnych popierać rozwój sił duchowych i materialnych narodu.

W walce o te cele Obóz Narodowy przeciwstawia się:

I-o Sanacji (dawniej BBWR.) zmierzającej do połączenia mieszkańców Polski bez różnicy wyznań i narodowości dla uzyskania poparcia rządu, czem otworzono szerokie pole wpływów dla obcych narodowości, szczególnie żydów. W praktyce sanacja zwalczała i zwalcza szczególnie narodowców, wystarczy wskazać na setki aresztowanych narodowców, na Berezę Kartuską, na usuwanie narodowców ze wszelkich stanowisk.

Sanacja wyprowadza się z PPS-u i do dnia dzisiejszego wybitni socjaliści zajmują stanowiska na służbie państwowej i komunalnej, co jest nie do pomyślenia w stosunku do narodowców. Sanacja wyrządziła i wyrządza niepowetowaną szkodę narodowi polskiemu.

II-o Następnie Obóz Narodowy przeciwstawia się socjalistom (PPS). Socjaliści polscy podlegali zawsze wpływom obcym i na terenie Polski, szczególnie w okresie przedwojennym, byli narzędziem polityki niemieckiej. Uznajemy jednak dobrą wiarę Polaków, którzy przed wojną w szeregach socjalistów walczyli o Polskę Niepodległą i dlatego odnosimy się do nich z uznaniem.

Klub Radnych Obozu Narodowego, składający się w swej znacznej większości z ludzi młodszych, nie przypisuje sobie wielkich zasług swoich wybitnych poprzedników.

Tembardziej jest bezpodstawne przypisywanie sobie przez frakcję P. P. S. i Klasowych Związków Zawodowych zasług dawnych działaczów niepodległościowych, z którymi ze względu na swój różnolity skład personalny frakcji socjalistycznej nic ich nie łączy nawet pod względem ideowym.

Hasła wysuwane przez socjalistów — walka z burżujami i kapitalizmem — są bałamutne, boć przecież w szeregach własnych swoich przywódców mają licznych burżujów i kapitalistów. O polepszenie doli mas robotniczych walczą w równej mierze i skuteczniej szeregi narodowców. Socjaliści wysuwają to hasło dla zjednania sobie mas do innej walki. Istotny bowiem cel walki socjalistów to nacjonalizm polski, czyli naród polski i Kościół.

Ten cel walki jest ze względu na dzisiejsze warunki osłaniany hasłem walki z faszyzmem i klerykalizmem.

W obozie socjalistów Polacy odgrywają rolę nieznaczną. Dla utrzymania pozorów są wysuwani na stanowiska przodujące, a w rzeczywistości kierują nimi żydzi. Zadaniem socjalistów polskich jest realizacja i obrona interesów żydowskich. Nikt nie słyszał, aby socjaliści zwalczali rabinów albo nacjonalizm żydowski, albo też aby choćby występowali przeciwko burżujom i kapitalistom żydowskim.

III-o Wreszcie Obóz Narodowy przeciwstawia się zdecydowanie żydom.

Żydzi to naród, który równocześnie czci i uwielbia: Karola Marxa, założyciela socjalizmu i internacjonalizmu i Herzla, pierwszego organizatora nacjonalizmu żydowskiego (sjonizmu). Internacjonalizm jest dla gojów, dla zdemoralizowania ich przez odebranie im przywiązania do Ojczyzny i wiary. Syjonizm jest dla żydów, dla zapewnienia im jedności i siły.

W żydach widzimy źródło największego nieszczęścia współczesnej Polski. Oni są czynnikiem rozkładu naszego życia gospodarczego, kulturalnego i moralnego, oni zagrażają naszej niepodległości. Bezbożnictwo, socjalizm i komunizm mają swoje źródło w żydach i od nich czerpią natchnienie. Wystarczy usunąć żydów, aby nie było socjalizmu i komunizmu.

W żydach Obóz Narodowy widzi swego głównego wroga i za główne swe zadanie na najbliższą przyszłość uważa odsunięcie żydów od wszelkich wpływów na polskie życie państwowe, społeczne, gospodarcze i kulturalne.

NAUKA i LITERATURA

„POLONEZ OGIŃSKIEGO"

JAK wyglądał, wydany w 1842 r. przez b. marszałka kijowskich deputatów, hr. Andrzeja Kalinowskiego — bal, na którym odbywało się oficjalne poniekąd spotkanie towarzystwa polskiego ze sferami urzędowemi rosyjskiemi, usiłuje nam to uzmysłowić p. Antoni Wysocki w utworze p. t. „Polonez Ogińskiego" (Warszawa 1937. Nakł. księgarni Hoesicka, stron 292), nazwanym przez siebie „powieścią".

Właściwie jest to dość stylowe, zgodne do pewnego stopnia z obyczajem, ze stanem moralnym i t. p. ówczesnego społeczeństwa polskiego na Rusi, sprawozdanie z balu, w którym uczestniczy ziemiaństwo ziem ruskich i sfery urzędowe rosyjskie z satrapą kijowskim, gen.-gubernatorem Bibikowem na czele.

Jest to długi, trwający jedną noc majową, film, na którym przewija się korowód polsko-rosyjskich par tanecznych, rzucający światło na charakter stosunków i związków, zachodzących między Polakami i sferami urzędowemi. Obraz mało budujący, gdy chodzi o Polaków, którym zostało jeszcze trochę fantazji, ubyło jednak dużo godności; po stronie rosyjskiej natomiast — dość typowy, normalny, ilustrujący sprzedajność i łapczywość chciwego łupu najeźdźcy. Wyjątek stanowi wielkorządca, generał Bibikow, którego autor przedstawia jako surowego władcę, lecz prawego urzędnika, a niekiedy nawet jako człowieka niepozbawionego odruchów dobrego serca.

Bibikow ze strony Rosjan, a stary wyga, kniaź Sieniuta, z polskiej—oto dwie postacie z całego filmu, które zarysowują się dość barwnie na jego wstęgach; zostały one dobrze ujęte nietylko od zewnątrz, lecz i od wewnątrz.

Zresztą wszystko tu nosi charakter sylwetkowy, dość znikomy. Autor nie jest malarzem, raczej jest rysownikiem, kładącym główny nacisk na wyraźny kontur, mniej natomiast dbały o cieniowanie.

W „powieści" tej ma się coś stać, mają, z okazji balu jacyś emisarjusze emigracyjni, łącznie z niektóremi parami tanecznemi uwalniać tej nocy z więzienia studentów-Polaków, ktorym grozi wysyłka na Kaukaz.

Zamiary te wszakże dość mglistą przybierają tu postać, a zresztą uprzedza ich wykonanie Bibikow, uwalniający niesłusznie uwięzionych studentów.

Bal kończy się szalonym mazurem, czy czemś podobnem, a Bibikow żegna p. marszałka, dziękując mu za dobrą zabawę...

No, z generałem Bibikowem to rozmaicie stosunki się układały — nie zawsze ku zadowoleniu Polaków. Oto przejrzałem—z powodu „poloneza Ogińskiego" — album rodzinne, gdzie rozmaici podolscy i ukraińscy poeci nasi, wpisywali swoje utwory, i znajduję tam jeden, z którego parę strofek przytaczam:

„Hulaj młodzi! Hulaj młodzi!
Wszak hulanka nic nie szkodzi!
To nie spisek, ani zmowa
I starego Bibikowa
To nie gniewa, owszem cieszy,
Kiedy lacka dziatwa spieszy
Nacieszyć się młodym wiekiem.
— — — — — — — — —
Precz więc praca, kiedy szkodzi,
Pij i hulaj dziarska młodzi!
Myśli wzniosłe top w szklenicy,
Jeśli ogień gore w łonie,
Ogień święty niech pochłonie
Płatny uścisk miłośnicy...

etc. etc...

Wiersz ten był napisany z następującego powodu: generał-gubernator Bibikow był również kuratorem kijowskiego okręgu naukowego.

W 1847 roku, wyjeżdżając do Petersburga, żegnał się Bibikow ze studentami i prosił ich, aby do jego powrotu korzystali z lat młodych, pięknych kobiet, aktorek i dobrego wina, dodając przytem, iż on sam nigdy się niczego nie uczył, a przecież został generałem i t. p.

Bibikow wolał oczywiście młodzież hulającą, niż spiskującą, ale właśnie wówczas młodzież uniwersytetu kijowskiego weszła na drogę „zmów i spisków" — bo na świecie zbliżała się „wiosna ludów". Zachęty Bibikowa do używania żywota nie znalazły większego posłuchu.

W. J.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nakładem księgarni Fr. Eberta w Krakowie wyszły z pod prasy „Rymy i rytmy" Macieja Szukiewicza. Jest to wybór celniejszych liryk tego poety z szeregów Młodej Polski. Zdobi książkę portret pędzla L. Misky'ego, fundament zaś daje jej obszerna przedmowa K. L. Konińskiego, zawierająca na 79 stronach studium o liryce Szukiewicza. Utwory poety zajmują str. 142.

Koniński przedstawia Szukiewicza jako myśliciela, uskrzydlonego wyobraźnią, tworzącą mity, jako z temperamentu bujnego, wąsatego sarmaty, pokrewnego Wacławowi Potockiemu z odczuciem melancholli, której nie brak było nigdy sarmatom.

Szkoda, że obok tak obszernej przedmowy nie znalazło się miejsca na trochę informacji o życiu autora. Wiemy z bibliografii, że stworzył 18 sztuk teatralnych; z tych sześć ukazało się w książkach.Parę zbiorów poezji (1901, 1913), trochę prozy podróżniczej, trochę przekładów. Jako kustosz Muzeum matejkowskiego pisał wiele o Matejce i o jego zbiorach.

*

Franciszek Mauriac jest tym pisarzem francuskim, o którym dziś najwięcej mówi się i pisze w Polsce Niedawno otrzymaliśmy o nim wnikliwe i pięknie napisane studium, pióra prof. Konrada Górskiego (wyd. księgarnia św Wojciecha), rozpatrujące kolejno genezę jego dzieł, następnie sprawę życia wewnętrznego i nawrócenia w tych dziełach, walkę pisarza z jego środowiskiem, wreszcie zagadnienia: „*amore sacro e profano*".

Toczą się na temat Mauriac'a częste dyskusje na łamach pism; pamiętamy ciekawe i dogłębne zapytania rzucone przez K. H. Rostworowskiego w „Kurierze Poznańskim": „Czy Mauriac jest pisarzem katolickim?" — pamiętamy też spór, jaki o tegoż pisarza francuskiego wszczął J. E. Skiwski. Wszystko to świadczy, że—o ile poczytność Mauriac'a wśród „szerokich" warstw byłaby u nas może jeszcze przedwczesną, o tyle w sferach intelektualnych ten niepokojący i niespokojny umysł twórczy wywołał znaczny ferment i zaciekawienie. O temże zainteresowaniu się świadczy wielka ilość przekładów, z których z wieku i urzędu na pierwszem miejscu stanie „Kłębowisko żmij", spolszczone przez Skiwskiego.

Już chyba piąty czy szósty tom Mauriac'owski ukazuje się w polskiej szacie językowej. Jest to opowieść „Pielgrzymi" („*Pèlerins de Lourdes*") wydana właśnie przez księgarnię św. Wojciecha. Znów—w odmiennej formie—staje tu przed oczy problemat nawrócenia, rozwinięty na tle tego przedziwnego miejsca cudów, jakiem jest sławne od pół wieku Lourdes. Zagadnienie cudu jest i przybliżeniem nawrócenia—i jego przeszkodą; w tych dwuch siłach, działających przeciwnie, jest motor rozwoju psychicznego obu bohaterów opowiadania, z których jeden, zrazu nie wierzący, staje w zdobytej z trudem wierze znacznie mocniej od tego, który wiarę tę zyskał łatwiej, wcześniej, ale nie wszędzie dotarł do jej ośrodka.

Dobry przekład zaleca tę opowieść, nad którą zadumać się można niejednokrotnie i głęboko. (J. B—r)

MUZYKA

FILHARMONIA. — Protestowałem, gdy niedawno po odegraniu jednego z utworów Debussy'ego krytyka rzuciła z wyraźną niechęcią: „Dość na dziś muzyki impresjonistycznej!..." a jednak gotów jestem przyłączyć się do tego głosu jeśli idzie o „Morze", chociaż dalej będę trwał w upartym proteście, jeśli idzie o twórczość kameralną. Mimo wszystko nie dziwię się Emilowi Cooperowi, że właśnie ten utwór włączył w ramy swojego programu—daje przecież tak ogromne pole do wygrywania efektów, zezwala na wydobywanie kontrastów, przesubtelne cieniowanie. A Cooper jest prawdziwym mistrzem orkiestry. Słowo „mistrz" nie ma w tym wypadku posmaku jakiejś banalnej terminologii, którą się operuje przy pisaniu o sztuce. To nie ułatwione słownictwo recenzenta, ale prawda najszczersza.

Wychowany w atmosferze muzyki rosyjskiej, chętnie do niej przy każdej okazji powraca, dając interpretacje pełne zrozumienia i odczucia. Mam wrażenie, że wpływ kompozytorów rosyjskich był decydujący w urabianiu sztuki tego artysty. Szczególnie ważną rolę musiał odegrać Rimskij-Korsakow. Cooper jest przecież tak czuły na barwę orkiestry, tak w niej wyraźnie smakuje!

I dlatego wybrał właśnie „Ognistego ptaka" Strawińskiego oraz „Obrazki z wystawy„ Mussorgskiego. Groteskowość „Obrazków" wydobył w sposób niemal że idealny, chociaż stanowczo trzeba mu zarzucić zbyt rozwlekłe tempo. I to nietylko tutaj, ale we wszystkich odtwarzanych w piątek utworach. Cooper delektując się szczegółem i przekazując swe delektowanie nam, słuchającym, gubi się jakby w całości kompozycji, nie panuje nad nią w dostateczny sposób. Szczególnie zauważyłem to właśnie teraz. Dziwna doprawdy rzecz, ale musiało zwrócić uwagę zbyt głośne brzmienie orkiestry w odtwarzaniu koncertu Zygfryda Kasserna. Przecież Cooper tak potrafi wydobyć *piano!*

Koncert Kasserna napisany z kulturą i znajomością orkiestry do słów Tadeusza Micińskiego odśpiewała Ewa Bandrowska-Turska. Niełatwe zadanie zostało przez nią pokonane z jakąś niefrasobliwą lekkością i pewnością siebie, na którą stać wyłącznie dużą klasę odtwórczą. Słowa Tadeusza Micińskiego—bardzo znamienne dla zrozumienia charakteru koncertu.

Całość wieczoru dopełniała „Rapsodia murzyńska" Poulenca. Pisać o Poulencie to znaczy powracać znowu do tego środowiska, które dwa tygodnie temu nazwałem tu na tem miejscu „wspaniałem".

W „Warsz. Dzienniku Narodowym“ podał p. Witold Szeliga wiadomość następującą:

„Grafomania rozlewa się szeroko po dzisiejszym świecie. Jednym z jej okazów jest pisanina niejakiego p. Fr. Poulenc'a, której przykład mieliśmy przed oczyma w piątek. Była to „Rapsodia murzyńska“. Autor, sam wcale nie murzyn (najpewniej semita), nie posiadający zdolności wczucia się głęboko w muzykę, tak daleką od naszej psychiki europejskiej, wypisał kilka kawałków, tworzących w sumie pięcioczęściową *suitę*, w której elementarna dzikość przeplata się z kombinacjami dźwiękowemi, z wszelką pewnością obcemi prymitywnej psychice murzynów z Honolulu. Tam, dla mieszkańców wysp dalekich, ich melodie są być może nawet świętością. Nas jednak w najlepszym razie bawią, w gorszym zaś śmieszą. I poco to robić? Dlatego tylko, że się niema własnych pomysłów tematycznych? Powód za mały...

Chcąc zapewne pochwalić się „ostatnią nowością“ paryską wystawił „Rapsodię murzyńską“ Emil Cooper, a skutek tego faktu mógł być w najlepszym razie jeden: ubawienie gawiedzi muzycznej“.

Jestem niezmiernie rad, że mogę udzielić nieco informacji o autorze rapsodii i sprostować opinię, jaką z powodu swej nieświadomości („niejaki p. Fr. Poulenc“, najpewniej semita“, „ostatnią nowością paryską“) wyrobił temu znanemu kompozytorowi współczesnemu, członkowi „grupy sześciu“ nawołującej właśnie do odrodzenia narodowej muzyki francuskiej tak zniekształconej w drugiej połowie wieku XIX. sprawozdawca „W. D. Nar.“

Poulenc obok Jerzego Aurica był jedną z pociech i nadziei Eryka Satie, tego Satie o którym Jacques Maritain powiedział w swojej „Sztuce i mądrości“: „Wszyscy ludzie dobrych obyczajów pragną dzisiaj klasycyzmu; ja nie znam we współczesnej twórczości nic bardziej klasycznego nad muzykę Satie“. Nikt inny znowuż, tylko najbliższy Poulencowi Jean Cocteau powiedział, że „Im więcej poeta śpiewa na swem drzewie genealogicznem, tem lepiej śpiewa“. Zdanie to, programowe zdanie, pod którem podpisywał się zespół „sześciu“ zda się bić właśnie w autora rapsodii murzyńskiej. Są to tylko jednak pozory. Nie zapominajmy, że w dążeniu do prostoty kompozytorzy francuscy przechodzili przez wiele prób. Poszukiwali gorączkowo. Przypomnijmy sobie choćby tylko wyznania Roussela. No i jego niezawsze udane koncepcje. Rozumiem tendencje Poulenca i jego, może również czasami, jak np. tym razem, niezbyt udaną koncepcję. Jest to zresztą nie żadna „ostatnia nowość paryska“ ale jedno z pierwszych, o ile nie pierwsze dzieło młodego naówczas kompozytora.

Powtarzam, rozumiem Poulenca i mam dla jego poczynań dużo szacunku, a dla całego tamtego środowiska wiele podziwu. Było ono przedewszystkiem twórcze. Niszczyło, zapładniając jednocześnie. Było nowe. A to—wciąż muszę powtarzać—wcale nieprawda, że nową sztukę żydzi wymyślili. (Poulenc—„najpewniej semita“). Całe odrodzenie smaku jest żydowszczyzną? Jakże często i najzupełniej niesłusznie kładziemy dzisiaj na żydowskie czoła wieniec geniuszu! Przepraszam — to już nawet nie filosemityzm, ale najskrajniejszy szowinizm. Oczywiście... żydowski.

W. NARUSZ

FILM

ROMA: „Dla ciebie Mario“, reż. J. Rieman, film niemiecki.

Nieraz zastanawiano się nad tem, w jakim stopniu muzyka mechaniczna jest konkurencją dla muzyki prawdziwej. Jeśli należy mówić o konkurencji, to wydaje m się przedewszystkiem o tej w zakresie materialnym. Radio i film dźwiękowy pozbawiły pracy liczne zespoły orkiestrowe i można to nazwać zjawiskiem ujemnem, oczywiście w sensie społecznym. Natomiast fakt, że ktoś mieszkaiący na prowincji, lub w dużem mieście, (ten, kto nie zdobędzie się na wyjazd zagranicę z różnych względów...) może słuchać przez radio, lub w kinie opery włoskiej np. — wydaje mi się zjawiskiem artystycznie dodatniem. Muzyka mechaniczna, reprodukcyjna, winna spełniać rolę popularyzatora, podobną np. reprodukcjom barwnym, wyobrażającym z możliwą do kładnością arcydzieła malarstwa. Są one oczywiście namiastką, ale propagując to co wyobrażają, mogą zachęcić do zapoznania się z oryginałem.

Zdając sobie sprawę z zamieszania, jakie dźwięk wprowadził w królestwo filmu, nie możemy jednocześnie zapominać o jego możliwościach popularyzowania dobrej muzyki. Naturalnie będzie to do pewnego stopnia służba obcym bogom. Nie należy jednak przeceniać niebezpieczeństwa. Kryje się ono raczej w nieporadności twórcy, a nie w oporności tworzywa.

Równoległość najwyższych wartości filmowych z wartościami dźwięku nie jest wcale niedołężnym, ani też niedorzecznym ideałem. Jeżeli tak niewiele filmów zadawala nasze wymagania pod tym względem, to dowodzi tylko braku ambicyj twórczych u przeważającej liczby filmowców. Film może się obyć bez dźwięku, ale może sobie także z nim poradzić i użyć go doskonale do swoich celów. O tem nie należy zapominać.

Uwagi powyższe kreślę dla czytelników na marginesie recenzji filmu, wyświetlanego w kinie „Roma“. Jest to film muzyczny i toczy się utartą już dla podobnych utworów koleją. Zrozumiano bowiem, iż najlepiej będzie, gdy śpiewak w takich filmach zacznie grać poprostu siebie, to znaczy — śpiewaka. Wtenczas wszystkie t. zw. wstawki muzyczne, w dziele z zasady naturalistycznem, wynikną w sposób naturalny z treści utworu. Za doskonalszą formę związania dźwięku z obrazem możemy uważać uwydatnienie dźwiękiem sensu emocjonalnego obrazu, co tu ma miejsce (parokrotnie) w końcowej części filmu. Treścią są dzieje przemiany duchowej młodej kobiety, która z początku ma zamiar szantażować bogatego śpiewaka, lecz pod wpływem jego ufności, dobroci i miłości, zmienia się i odpłaca mu również uczuciem. Podobną przemianę możnaby przedstawić lepiej w teatrze, przy pomocy całego arsenału subtelnych środków gry aktorskiej, tutaj cała rzecz została ujęta potrosze od strony sensacyjki, zresztą z umiarem.

Najpiękniej wypadła scena wchodzenia po schodach młodej rekonwalescentki, zasłuchanej w śpiew „Ave Maria“ podtrzymywanej przez zakonnicę. Käthe von Nagy szła b. pięknie i rytmika jej kroków harmonizowała dobrze z melodją pieśni.

W roli śpiewaka znakomity tenor włoski Beniamino Gigli.

Miłośnikom śpiewu i muzyki operowej film napewno się będzie podobał.

ATLANTIC: „Zapomniana symfonia“, film amerykański.

Wydaje mi się, że nakręcono ten film przedewszystkiem dla popisowej roli czołowej w nim postaci, odtworzonej przez wybitnego amerykańskiego aktora, Jana Hersholta. Już samo uczynienie z gry aktorskiej najważniejszego atutu teatralizuje film, co tembardziej daje się tutaj odczuwać, że ani tło, ani praca operatora (zdjęcia), ani też inscenizacja reżyserska poszczególnych fragmentów tej teatralności nie umniejszają.

Rola Hersholta przypomina postacie, które grywał niegdyś Jannings. Jest tu człowiek, wyrwany ze swego środowiska i z kręgu codziennego, szczęśliwego bytowania. Koleje losu sprawiają, iż stacza się coraz niżej w hierarchii społecznej i w końcu z dzwonnika w małem miasteczku górskiem, szczęśliwego ojca rodziny, otoczonego szacunkiem sąsiadów, staje się roznosicielem reklam, pomywaczem i t. p. Jednem słowem—„*bywszij czeławiek*“. Przytem wszystkiem zachowuje jednak swój poziom moralny i niezachwianą wiarę. Trzeba przyznać, że czysta atmosfera moralna filmu stanowi jedną z jego zalet, jedynie przedstawienie kwestyj religijnych w amerykańskiej relacji niezupełnie odpowiada naszej psychice.

Odtwórca głównej, efektownej i popisowej, roli nie zawiódł; nietrafnie obsadzono tylko rolę jego filmowego syna. Niema w nim nic z artysty (ma być słynnym kompozytorem), a jest raczej wiele z przygłupawego lalusia.

KANDYD

NOWE KSIĄŻKI

Bieniasz Józef. Wilki wyją. Powieść. Lwów 1937. Księg. „Leopolia“.

Mereżkowski D. Jezus nieznany. Przełożył J. Horzelski. Warsz. 1937. Wyd. „Płomień“. Str. 384.

Wańkowicz Melchior. Strzępy epopei. Wyd. III, powiększone. Warsz. 1936. „Rój“.

Marchołt, kwartalnik, poświęcony sprawom literatury i kultury. Warsz. Rok III, zesz. I (styczeń 1937).

Skrzypek Tadeusz dr. O narodowy program reformy rolnej. Lwów 1937. Str. 96.

POKŁOSIE

NOWOCZESNE NIEWOLNICTWO

NIEDAWNO w radio opowiadano o poleskim miasteczku Horodle. Licha ta, acz historyczna mieścina siedzi na pokładzie dobrej gliny garncarskiej, to też mieszkańcy jego trudnią się od wieków wyrobem garnków, zaopatrując w nie spory kawał kraju. Ale w jaki sposób? Oto kilkaset rodzin chrześcijańskich wykonywa ciężką robotę, kopie glinę, miesi ją i wyrabia garnki. Kilkunastu zaś żydów kupuje te surowe garnki za grosze od wytwórców, polewa je glazurą i sprzedaje na targach. Garncarze żyją w nędzy i całkowitej zależności od tych kupców, a niewspółmierność zarobków jest tak uderzająca, że zainteresował się nią jeden ze starostów, wybudował piec do polewania garnków dla wspólnego użytku garncarzy tak, żeby ci mogli sprzedawać gotowy już produkt i podnieść swe zarobki. Ale okazało się, że starosta robił rachunek bez gospodarzy, t. zn. w tym wypadku bez owych kilkunastu żydów. Kupcy nie chcieli kupować polewanych garnków, garncarze nie mogli ani zorganizować zbytu, ani też wytrzymać tygodnia tego bojkotu i wszystko wróciło do starego: piec stoi bez użytku, garncarze dostają za garnek po parę groszy, a żydzi zbierają śmietankę z tego interesu.

Przy słuchaniu tej opowieści niejeden pomyślał sobie, że takie stosunki, kiedy kilkuset rzemieślników żyje jakby w pańszczyźnie u kilkunastu żydów, możliwe są tylko gdzieś na zapadłem i zapomnianem przez wszystkich Polesiu. Tymczasem „Warszawski Dziennik Narodowy" poinformował szerszą publiczność o stosunkach panujących w miasteczku Staszowie, w kieleckim, a więc w centrum Polski. Kilka tysięcy mieszkańców Staszowa trudni się szewstwem, i tu też są dwie warstwy: jedna, polska, ciężko pracuje, a druga, żydowska, dorabia się na tej pracy. Żydzi — nakładcy dostarczają szewcom materiału i zabierają buty, płacąc głodowe ceny. Za zrobienie pary butów dają kilkadziesiąt groszy i to nie gotówką, lecz kwitami do swoich sklepików spożywczych, tak że zarobek spada jeszcze o kilkanaście procent. Zarobek szewca kilka złotych tygodniowo, jest wymierzony ściśle według minimum egzystencji i utrzymuje go w zupełnej zależności od nakładcy. Gdy ten nie da pracy, szewc staszowski zginie z głodu. Żydzi wykorzystują swą władzę w całej pełni, zabronili np. i to skutecznie należeć staszowiakom do Stronnictwa Narodowego.

Horodło, czy Staszów nie są jednak bynajmniej odosobnionymi oazami takiego wyzysku. To samo dzieje się w całej Polsce jak długa i szeroka. A więc w Wolbromiu (również szewstwo), w Węgrowie, Mordach na Podlasiu (wyroby trykotowe), w podkrakowskim Tyńcu (także trykoty) w Kalwarii Zebrzydowskiej (stolarstwo), Świątnikach i Sułkowicach (wyroby ślusarskie i kowalskie, zamki, kłódki, łańcuchy), w Brzezinach, Zduńskiej Woli, Aleksandrowie (tkactwo i konfekcja), no i w ogromnym wytwórstwie konfekcyjnem i galanteryjnem w stolicy...

Nieludzki wyzysk chałupników nie jest zjawiskiem nowem, ani nieoczekiwanem, ma już swą obszerną literaturę w ekonomii. Na zachodzie minął, zastąpiony przez produkcję fabryczną, lub ustąpił przed organizacją chałupników. Tylko u nas trwa. Podczas gdy państwo u nas zajmuje się pielęgnowaniem, często bardzo kosztownem, wielkiego przemysłu, żydzi korzystają z wielkiego, realnego atutu, jakim jest tania praca i bogacą się na tym. Podobno coś nareszcie zaczyna się robić w kierunku zorganizowania tych nieszczęsnych chałupników i zapewnienia im słuszniejszego udziału w zyskach z ich pracy. Ale trudno się łudzić, żeby same tylko urzędowe kroki coś zdziałały. Tu musi przyjść z pomocą ruch społeczny.

Można było czytać głosy poważnych ekonomistów, którzy z pobłażliwym uśmiechem traktują „zdobywanie straganów", o którym tak było głośno w ostatnim roku. Uśmiech nie na miejscu, bo to jest istotnie podstawa, z której jedynie może wyjść reforma materialna i moralna, narodowa. Wśród laików rozpowszechnione jest mniemanie, że główną trudność w procesach wymiany towarów stanowi część wytwórcza tych procesów, tymczasem wcale tak nie jest. Zrobić coś jest w dzisiejszych czasach rozpowszechnionego szkolnictwa zawodowego stosunkowo łatwo. Trudniej jest zbyć wytworzony towar, zwłaszcza u nas gdzie handel jest prawie w całości w obcych rękach. Niepowodzenia, jakie niejednokrotnie spotykają polskie przedsiębiorstwa handlowe przypisujemy zbyt ogólnikowo naszej niezdolności do handlu, brakowi wytrwałości i t. p, Niedoceniamy natomiast tej ogromnej przewagi, jaką mają nad nami żydzi już przez sam fakt, iż są społeczeństwem handlarzy, w którym każdy zaczynający znajduje automatycznie pomoc otoczenia, czego u nas był dotychczas brak prawie zupełny.

Proszę pomyśleć, czy narodowe i materialne wyzwolenie szewców staszowskich lub wolbromskich jest możliwe bez polskiego straganu? Oczywiście że nie, natomiast za tym straganem i hurtownią przyjdzie samo przez się,

ARGUS

NA MARGINESIE

— Co pan powie o mowach programowych męża stanu teraz wydanych?

— Czytałem, czytałem. Czego tam niema! I sensu nie ma, i treści nie ma, i talentu nie ma.

*

Między Akademią Literatury i światem dziennikarskim toczy się walka. Poszło o Rzymowskiego dziennikarza, który powołany przez p. Jędrzejewicza do Akademii „obniżył powagę pisanego słowa". Akademia w odwecie posyła na praktykę dziennikarską literata Goetla, aby ten obniżył powagę publicystyki. Ale się łudzi, bo w „Kurierze Porannym" już nic obniżyć się nie da. Kędy stąpił Rzymowski, tam już trawa nie rośnie — tak wszystko jest — wyłgane...

*

P. Rzymowski, pozbawiony miejsca w „Kurierze Porannym", nie stracił przytomności.

— Ja wam pokażę — rzekł — że nie miejsce człowieka, ale człowiek miejsce zdobi.

I rozsiadł się w fotelu Akademii Literatury.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.60 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM